

Młodzi zniekształceni

Autor: Jakub Bożydar Wiśniewski

Gazeta Wyborcza [donosi](#), że młodzi nie są w stanie znaleźć pracy mimo wiedzy i dyplomów. Dalsza część artykułu sugeruje, że oznaczający rozłączność spójnik „i” nie jest tu właściwie potrzebny – dyplom ma oznaczać wiedzę, a wiedza pracę. Mowa zatem o wiedzy szkolnej, uczelnianej. Jakiego rodzaju jest to wiedza? Czy jest to wiedza sprzyjająca rynkowym potrzebom, a więc potrzebom swobodnie wyrażanym przez ogół konsumentów? A jeśli jest to coś zupełnie przeciwnego, to czy koszty alternatywne typowego „wykształcenia” nie przekraczają płynących zeń rzekomych korzyści?



Dotykamy tutaj paradoksu zawartego w światopoglądzie, który nazwę edukacjonizmem. Paradoks ten polega na tym, że wiedza uczelniana, która jest w myśl rzeczonoego światopoglądu niezbędna w osiągnięciu dobrej pozycji na rynku, stanowi w ogromnej mierze bezwstydną antyrynkową propagandę, zwłaszcza w zakresie tzw. „nauk społecznych”. To na uniwersytetach powstała teoria dóbr publicznych i kolektywnych, głosząca, że istnieją pewne kategorie niezbędnych do życia dóbr, których rynek w żadnej mierze nie jest w stanie wytworzyć. To z uniwersytetów wyszły nieprzeliczone teorie „niedoskonałości rynkowej”, „asymetrii informacyjnej”, wszechobecnych „monopoli”, chronicznej skłonności rynku do generowania gwałtownych cykli koniunkturalnych, nadprodukcji przez rynek potrzeb konsumenckich, i wiele, wiele innych. Wszystkie jako rozwiązanie sugerują „naprawcze” ingerencje urzędniczego aparatu agresji, przemocy i przymusu. Wydziały ekonomiczne spolaryzowane są pomiędzy zwolennikami pro-etatystycznych doktryn monetaryzmu i keynesizmu, niemal całkowicie pomijając jakiegokolwiek chociaż wzmianki o dorobku szkoły austriackiej, która na bazie logicznej analizy kategorii ludzkiego działania dochodzi do wniosków konsekwentnie i bezwyjątkowo prorynkowych. Wydziały rozmaitych socjologii, politologii, europeistyki i stosunków międzynarodowych bez

skrępowania stręczą swoim wychowankom enuncjacje wszelkiego rodzaju Marksów, Foucaultów i Habermasów, nie zająkując się na ogół, nawet przelotnie, o osobach takich jak Etienne de la Boetie, Franz Oppenheimer czy Albert Jay Nock. Nawet wydziały nauk przyrodniczych, wydawałoby się mniej skłonne do uprawiania roszczeniowej sofistyki, pełne są orędowników walki (za cudze pieniądze rzecz jasna) z „globalnym ociepleniem” (obecnie funkcjonującym pod nazwą „zmian klimatycznych”) oraz fundowania sobie z cudzej kieszeni bajątko kosztownych zabaw, takich jak np. „Wielki Zderzacz Hadronów”.

Nietrudno się domyślić, dlaczego owoce pracy umysłowej uniwersytetów (z których przeważająca większość jest albo wprost upaństwowiona, albo sownie przez państwo subsydiowana) są przeważnie właśnie takie — rynkowe zapotrzebowanie na zawodowych rezonerów jest raczej niewielkie. Bardzo duży popyt na ich usługi wyrażają natomiast urzędnicze aparaty agresji, przemocy i przymusu, których istnienie opiera się wyłącznie na posłuszeństwie rządzonych, a to wymaga „legitymizacji” władzy — tym skuteczniejszej, im bardziej strojącej się w piórka wysokiego intelektualizmu.

To jednak, co jest wygodnym gniazdkiem dla pracowników uzależnionego od państwa kartelu edukacyjnego, staje się pułapką dla tych, którzy ośrodki antyrynkowej propagandy pragną wykorzystać w celu zagwarantowania sobie rynkowych miejsc pracy. Powab edukacjonizmu jest tu wyraźnie silny — dyplom domniemanego znawstwa w choćby i najbardziej kuriozalnej „dyscyplinie wiedzy” wydaje się uchodzić za istotniejszy niż konkretne umiejętności w zakresie zaspokajania potrzeb konsumentów. Może to dziwić, zwłaszcza w świetle powszechnie znanego faktu, że osoby mogące uchodzić za sztandarowe przykłady przedsiębiorców, którzy osiągnęli rynkowy sukces (Ford, Carnegie, Rockefeller czy — bardziej współcześnie — Gates, Jobs i Zuckerberg), albo nie miały żadnego uczelnianego wykształcenia, albo stosunkowo szybko rezygnowały z jego zdobywania. Co nie oznacza rzecz jasna, że mogły sobie pozwolić na lekceważenie cnoty intelektu. Przeciwnie — swoje fortuny zawdzięczały one właśnie głębokiej znajomości ludzi oraz ich potrzeb, jak również odkrywczym zastosowaniom wiedzy technologicznej.

Może więc przyszłości w zakresie kształtowania i przekazywania cennych na rynku pracy umiejętności nie należy upatrywać w zetatyzowanym kartelu edukacyjnym, ale w niezależnych instytutach badawczych i dobrze rokujących, pryncypialnie odmawiających przyjmowania jakichkolwiek subsydiów uczelniach

prywatnych? Może za warunek niezbędny do swobodnego powstawania wiedzy autentycznie pożytecznej z punktu widzenia społeczeństw należy uznać likwidację gildiowego systemu urzędniczej akredytacji? Chyba że samemu liczy się na wstąpienie w szeregi akredytujących bądź obudowujących ich działania akademickimi uzasadnieniami (według danych GUS-u, liczba tych pierwszych wzrosła w Polsce z 159 tysięcy w roku 1990 do ponad pół miliona pod koniec roku 2010). Jeśli celem jest właśnie to drugie, to warto jednak pamiętać, że — *ceteris paribus* — przyrost liczby pasożytów to spadek liczby żywicieli. Z czego, rzecz jasna, wynika, że w pewnym momencie i ta pierwsza liczba zacznie gwałtownie spadać.

Podsumowując, rynek pracy nie jest, wbrew dość powszechnemu przesądowi, stałą wielkością tortem, po rozdeleniu kawałków którego ci niewystarczająco szybcy skazani są na głód. Dopóki istnieją niezaspokojone potrzeby ludzkie — a są one najprawdopodobniej niemożliwe do pełnego zaspokojenia — dopóty istnieją możliwości bycia zatrudnionym. Wśród tych potrzeb nie ma jednak przypuszczalnie oglądania czyjejkolwiek kolekcji dyplomów, jeśli nie towarzyszy im autentyczne świadectwo stosownych umiejętności.